

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2,
W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

„NA WSZELKI PRZYPADEK...”

„Na wszelki przypadek...” Pod takim tytułem, jedno z warszawskich pism codziennych pomieściło, przed niedawnym czasem artykuł, szczupły rozmiarami, ale bogaty... fantazją; co jest tem dziwniejsze, że wyszedł on jakoby z pod pióra — „Praktycznej”.

Nie chciałbym upatrywać w artykuli tym jakiejś sztuczki redakcyjnej, to jest nie chciałbym przypuszczać że został on popełniony na miejscu w redakcyi, gwoli potrzebie przypomnienia się „naszym rzemieślnikom”; dziwi mnie jednak przebijająca przezeń niepraktyczność.

Niezgłębioną bo jest logika we wspomnionem... wypracowaniu. Autorka (czy nie autor?) zauważywszy iż „często ubogi duchem lecz silny dłońią pracownik hebla lub młota, lepiej sobie daje radę na świecie, niż niejeden doktor filozofii”, dochodzi do wniosku, że dobrze byłoby „łączyć naukę z pracą fizyczną”. Rada to istotnie praktyczna, chętnie też pisalibyśmy się na nią, gdyby nie przyczepiony do niej dodatek: „na wszelki przypadek...” Dlaczego tak? A bo „los różne a dziwne z ludźmi wyprawia igrzyska; jednych podnosi, drugich obala...” „Gdy los pozwoli nam korzystać z zasobów naszej wiedzy, wtenczas narzędzia pracy fizycznej odłożywszy na bok, wzbijajmy się (szczęśliwi!) po jej świetlanych szczeblach. Lecz gdy twarda dłoń życia wskaże nam (biedakom!) pracę fizyczną jako jedyny środek utrzymania, wtedy jakże nam będzie przyjemnie, że weźmiemy się do rzeczy już nam znanej, i z którą oswoiiliśmy się z młodych lat...” Owóż pomyślmy o pracy fizycznej — „na wszelki przypadek...”

Tak utrzymuje i tak poucza pani „Praktyczna”. Nam wszakże zdaje się że powinniśmy kształcić się fachowo nie „na wszelki przypadek”, nie w przewidywaniu „igrzysk losowych”, ale przez dobre zrozumienie interesów społecznych i osobistych, przez poczucie obowiązku pracy, bo tylko w ten sposób możemy zyskać trwałe podwaliny dla naszego bytu ekonomicznego — osiągnąć dobrobyt, ten najwyższy niby ideał doby obecnej!...

Nie mamy nic przeciwko nauce, wiedzy, ale jeżeli mamy oceniać je ze stanowiska praktyczności, to musimy rzecz iż wiedza, nauka—jako zawód—dobre są dla jednostek, zaś społeczność cała, chcąc żyć, musi przedewszystkiem pracować, i dla niej nauka jest tylko pomocnicą w pracy. To przecież takie proste i zrozumiałe, takie prawdziwe i widoczne!

Ba, ale nie — nowe. Żyjemy w czasach, w których nie to uważa się za dobre, co dobrem jest w istocie, ale to co — „postępowe”. Możesz bredzić od rzeczy, byleś w swoje bredzenie wplótł zręcznie jakieś „nowe” hasło, a uzyskasz głos, „wydrukują cię” i pocziwy ogół przeczyta. A czy z tego wypadnie w rezultacie korzyść lub strata publiczna, o to już mniejsza...

Przepraszam — nie mniejsza. Prasa istnieje na to aby naród przez nią korzystał a nie tracił; takie zatem dowodzenie, że o pracy fizycznej trzeba myśleć „na wszelki przypadek” nie powinno było znaleźć się w prasie, bo z niego nic oprócz straty wyniknąć nie zdoła.

Naród nasz już sam z siebie nie jest dość praktycznym, gdy więc jeszcze zaczęlibyśmy obniżać w jego oczach doniosłość pracy, gotówby w końcu uwierzyć że istotnie trzeba posiadać zdolność pracy, ale tylko „na wszelki przypadek”. A co wtedy stałoby się z nim musiało, tego chyba życzyć sobie nie można.

„Tak więc, ojcowie”, niech synowie wasi, obok wykształcenia umysłowego, nabywają zdolności pracy fizycznej, niech się kształcą praktycznie; ale niech im za pobudkę nie służy przekonanie że zdolności te „przydać się mogą”, nie wmawiajcie w młode pokolenie że z uzdolnień fachowych należy korzystać wtedy dopiero „gdy twarda dłoń życia wskaże pracę fizyczną jako jedyny środek utrzymania”. Przeciwnie, wpajajcie w umysły dzieci waszych wiarę w to, że praca, zarówno umysłowa jak fizyczna, jest powinnością obywatelską, — podstawą, na której mają budować swoją i swoich przyszłość ekonomiczną.

Czyńcie tak, ojcowie, bo dopiero z upowszechnieniem się takich pojęć o pracy zakwitnąć może materyalna pomysłowość nasza, i wreszcie dopiero wtedy „ten wyraz rzemieślnik” — jak się jeszcze wyraża pani „Praktyczna” — posiadzie „zasłużone uznanie”.

Wówczas przestaniemy straszyć dzieci rzemiosłem i żaden ojciec nie powie synowi: „jak się nie będziesz uczył pójdiesz do terminu”, — bo dowiemy się że z „terminatorów” wyrastają ludzie użyteczni prawdziwie, nie zaś niedowarzeni mędrale, którzy mniemają że przez ukończenie paru klas gimnazyalnych nabyli jakichś szczególnych przywilejów społecznych — prawa życia bez pracy.

Tak; traktowanie uzdolnień fachowych jako zabezpieczenie „na wszelki przypadek” jedynie pasorzytów przysporzyłyby nam mogło. A i tak mamy ich sporą już liczbę.

Mamy przecie między ludźmi tak zwanymi „inteligentnymi” dość takich, co pędzą żywot w usługach spanoszonego żydowstwa. Zkąd oni się wzięli i co ich zmusza do tej służby? Brak fachowego uzdolnienia? Nie, — bo są między nimi wprawdzie nie „pracownicy hebla lub młota”, ale fachowcy:

inżynierowie, prawnicy, lekarze, pedagogowie i t. p., którzy gdyby zechcieli mogliby korzystać z swych uzdolnień fachowych nie czekając na „losu igrzyska“. Ich zmusza do tego owo właśnie słabe i fałszywe pojęcie obowiązku pracy—przekonanie iż ona dobrą jest tylko „na wszelki przypadek“.

O ile ludzie tacy są szkodliwi dla społeczeństwa, do wodzić nie potrzeba — wobec aż nadto widocznych skutków karyerowiczostwa. Na zakończenie więc wypada nam tylko dodać, że nie według wykołejonych jednostek wzorować ogół; ale na podstawie zdrowych zasad ogólnych trzeba jednostkom wskazywać drogi działania.

Takim jest nasze zdanie i dlatego wystąpiliśmy przeciwko bałamutnej „zasadzie“ (!) fachowego kształcenia się „na wszelki przypadek“.

W. St. Orczyc.

Głosy ze wsi.

I.

(Dokończenie.)

A jednakże nawet w krajach gdzie ród ten Mojżesza nie rozrósł się tak bujnie jak w naszej Palestynie polskiej—rolnictwo również jęczy trapięone niemocą. Ziemia doprowadzona do najwyższej kultury, wydaje plony obfite; rolnik tamtejszy umie pracować i produkować rozumnie — mimo to przecież, wydatki pochłaniają jego pracę. Zubożenie jest ogólne; wytworzył się stan bez wyjścia, który rolnictwu europejskiemu powszechnem zagraża, rzechby można, bankructwem.

Ogół rolniczy jest przekonania, że upadek dzisiejszy zawdzięcza przedewszystkiem konkurencyi zamorskiej. Rzeczywiście, konkurencyja rzeczona niemałą zadaje klęskę rolnictwu europejskiemu, wszelako jest ona skutkiem, nie zaś przyczyną. Przyczyn istotnych, zasadniczych głębiej szukać należy, a mianowicie w wadliwości europejskiego prawodawstwa, które, ze szkodą głównej żywicieli ludzkości, t. j. ziemi—popierało i popiera jedynie przemysł wielki. Ołbrzymi jego rozwój, w drugiej połowie bieżącego stulecia, zaabsorbował i pochłoniął cały dorobek wieków i odciągnął wreszcie kapitały od ziemi, która będąc zawsze od sił przyrody zależną — konkurencyi z nim, pod względem zysków, wytrzymać nie mogła. Zogniskowanie w miastach przemysłu wielkiego, dając masie ludności rolniczej większy niby zarobek, odciągnęło ją od ziemi, a wobec braku rąk, produkcya rolna coraz stawała się droższą. Drożał też stopniowo i stawał się z każdą dołą trudniejszym do pozyskania kapitał ruchomy, podczas gdy zyski z ziemi w odwrotnym postępo-

wały kierunku, aż wreszcie, przy całym postępie cywilizacji, dobiegliśmy do wcale nie humanitarnego kresu, gdzie ogólny urodzaj, miasto składania dziękczynnego hołdu Opatrzności, budzi raczej przestrasz i obawę, ażali wobec upadku cen do minimum, zdołamy się utrzymać przy zagonie ojców!

A jednakże, wszelką siłą przy ziemi ostać się nam trzeba. Nietylko w interesie społeczeństwa, ale i w interesie równowagi państwowej leży, aby pierwiastek na ziemi wyrosły i z ziemią zrosnięty, jako głównie produkcyjny przy zgubnej przewadze kapitału ruchomego, nie był systematycznie wypierany przez pierwiastek obcy, a o tyle dla własności gruntowej groźny i wrogi, o ile przemysłu rolnego nie traktuje inaczej, jeno jako przedmiot spekulacji i wyzysku, zatracając nieopatrznie dorobek — całych pokoleń.

Europejscy mężowie stanu, oceniając podstawowe stanowisko rolnictwa w ekonomicznym ustroju społeczeństw, coraz wyraźniej uznają potrzebę zasadniczej reformy prawodawstwa, zgodnie z charakterem własności gruntowej i przywrócenia mu tych cech, jakie pod presją doktryn demagogii socyalnej, w ciągu stuletniej walki, zatraciło, dając folę spekulacji i przewadze kapitału ruchomego, wobec których, jak wspominałem, rolnictwo, w swych podstawach, — ostać się nie może.

Zawiodło też srodze oczekiwania demagogii (jeżeli w ogóle aspiracye demagogiczne, w racjonalnym ustroju społeczeństw, przyniosły kiedykolwiek rezultaty dodatnie) i równouprawnienie nadane żydom. Miasto uobywatelenia i skierowania zdobytych lichwą środków na cele produkcyjne, zwrócili środki te, z tem większą już swobodą, w kierunku spotęgowanego bardziej jeszcze wyzysku warstw pracujących, a przedewszystkiem i najgłówniej klasy rolniczej. Rozpoczęli oni u nas i od ćwierci wieku, z nieubłaganą konsekwencyą, prowadzą krucyatę sumarycznych wywłaszczeń, wytwarzając tą drogą nadprodukcję podaży i deprecjonując własność ziemską do tego stopnia, że całe dobra nabywają niejednokrotnie niżej wartości—znajdujących się na gruncie budowli. Stare zaś ludowe przysłowie o żydowskiej agromonii: „wiedzie się, jak żydowi rola“ —zbyt dokładnie określiła kompetencyę synów Izraela na tem polu. Nie sądzę wszakże, by do rozumnej eksploatacyi nie byli oni zdolni, — owszem, sądzę nawet przeciwnie. Tylko że gospodarstwo wymaga ciężkiej, znoonej i wytrwałej pracy, wywdzięczając się wzamian małemi procentami; gdy tymczasem chciwe łatwego zarobku instynkta żydowskie, zapomnieć jeszcze nie mogą znikłych z powierzchni naszego kraju obszarów leśnych, za 1/4, a nie rzadko i za 1/10 część rzeczywistej ich wartości nabywanych. Lasy też nasze stały się bez zaprzeczenia podwaliną rozrostu i buty dzisiejszej żydowskiej arystokracji finansowej. Jak zaś szybkim już teraz krokiem postępuje wypieranie pierwiastku rodzimego z własności gruntowej, świadczą wymownie statystyczne dane, ot choćby poczerpnięte z wykazów hypotecznch Dyrekcyi Szczegółowej Tow. Kredyt. Ziemskiego w Piotrkowie.

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Dramiński drwił bez miłosierdzia z „liberalnego“ żydostwa które, z bogaciwszy się, marzy tylko o tem, jakby pokryć swoją szybko, niewiadomo jakimi środkami nabytą fortunę, kupionym tytułem lub herbowyu zięciem; wyciągał z po za kulis finansowych śmieszności i ordynaryjne ideały bankierskie, a Bolesław ciął zamaszystem piórem swoim po pysznych obietnicach przeróżnego materializmu tak zwawo, że wjóry z nich leciały. Sforowski powtarzał w feljetonach poglądy kolegów, przerabiając je po swojemu, z brzękiem i szumem przesadnie oryginalnej, efektownej dykcyi.

Już po czwartym numerze „Brzasku“ wiedział Młodowski, znany z wybornego „nosa“, że będzie miał do czynienia z ludźmi zdolnymi i odważnymi. Dziś postanowił rozpocząć „akcyę“, bo oto zwrócił się Bolesław wprost do niego.

Wydawca „Gwiazdy“ znalazł się w szczególnem położeniu. Od lat kilkunastu był on napadającym, on deptał każdego, kto ośmielił się stanąć mu w drodze, on steroryzował przedstawicieli t. zw. starej prasy śmiałym atakiem i bezwzględnością, a teraz zmieniły się role. Jego to pismo i jego towarzyszków zaczepiono, a jego samego zapytauo bez ogródki, kim jesteś, gdzie twoje dzieła, twoje zasługi, że odmawiasz wszystkim prawa do zabierania głosu? Kto ciebie upoważnił do spychania innych ze stanowisk publicznych, przystępnych dla każdego obywatela z jasną głową, z ognistym sercem i dobrą wiarą?

Młodowski zdziwił się na razie: odwykł od mowy tak obcesowej. Wkrótce jednak ochłonił i zrozumiał, że trzeba się najeżyć, bronić, aby nie doznać losu, jaki on sam innym zgotował.

— I cóż panowie na to? — zapytał, zwracając się do filarów pozytywizmu. — Mnie się zdaje że musimy zgnieść nowego wroga w samym zawiązku.

— Jeżeli kierunek „Brzasku“ wykwił z potrzeb chwili, to nie pokonamy go.—odrzekł krótko Chłodziński.

— Zejdźcież raz z tych koturnów publicystycznych, — zawołał Młodowski, niecierpliwie się, — a mówcie po ludzku.

— Aha, teraz zabierze wydawca głos: kupiecki spry-

Na 840 ogólnej liczby dóbr Stowarzyszonych, przeszło 180 znajduje się w rękach procentowiczów i lichwiarzy, a około 200 dóbr jęczy jeszcze pod brzemieniem uciążliwych wierzytelności żydowskich, aby prędzej lub później losu owych 180-ciu doczekać. Prawie zatem połowa ogólnej liczby dóbr Stowarzyszonych znajduje się pod presją inwazyi żydowskiej, walczącej o lepsze z inwazyją germańską w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.

A wobec takiego stanu rzeczy, czegoż bardziej pragnąć należy — jeżeli nie jak najrychlejszej reformy prawodawczej, któraby ostatecznym, opłakanym skutkiem doszczętnego u p a l e s t y n i e n i a kraju — zapobiedz była zdolną?

E. Sas.

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Prześladowanie żydowskie.

III.

Żydzi.

(Dalszy ciąg.)

Któż nie zna odrażającej fizygnomii Herolda, z oczyma ciekącymi, pokrytymi krwawymi żyłkami, — jego ust wykrzywionych straszliwie. Po muzyku uprzejmym i gładkim, którego wygładziła jeszcze atmosfera paryzka, natura odradza nagle żyda niemieckiego starej daty, jednego z tych żydów jakich widzujemy na starych obrazach, ciągle niespokojnych, ciągle drżących aby ich nie pochwycono i nie powieszono między dwoma psami.

Jeżeli baczne i ściśle badanie tych typów jest częstokroć bolesne dla pisarza, trzeba je uważać za pewien rodzaj okupu za te rozkosze umysłowe, tak podniosłe i tak czyste, których doznajemy w tak wysokim stopniu, zapoznając się zapomocą analizy z umysłami wybranymi, takimi jak Vauvenargue, Joubert, Chenier, Maurycy Guerin, żyjąc w towarzystwie tylu dusz tkliwych a wzniosłych, nieznanych prawie od tłumu.

Ta wielka zagadka dziedziczności złego, jest zresztą niezmiernie zajmująca. Są widocznie istoty, które poza obrębem grzechu naszych pierwszych rodziców, co ciąży na nas wszystkich, dźwigają na sobie ciężar jednego z tych grzechów, które Bourdaloue nazwał „drugim grzechem pierworodnym“.

syknie z chytrą wężą — mówił Chłodziński, i uśmiechnął się szydersko. — Mów, panie Józefie, słuchamy.

— Idzie zdaniem mojem, przedewszystkiem o to, — prawil Młodowski — aby tych jegomościów ośmieszyć przed publicznością, i zniweczyć zręcznym ruchem ich rosnący z dniem każdym wpływ.

— W jaki sposób chcesz tego dokonać, panie Józefie?

— O w sposób bardzo prosty, panowie. Najlepiej rozpuścić jaką plotkę, bo na tę wędkę chwytają się wielkie masy najłatwiej.

Małe, bystre oczki Młodowskiego błysnęły chytrą.

— Cóż panowie na to? — zapytał.

— Ja na to — wyrzekł Chłodziński — że byłoby to niegodnem.

W gabinecie Młodowskiego zapanowało milczenie. On przygryzał wargi, posyłając Chłodzińskiemu spojrzenia ostre, kłujące, a współpracownicy „Gwiazdy“ porozumiewali się wzrokiem.

Po chwili podniósł się z krzesła Żmudzki, pogładził chudą, drobną ręką roztarganą brodę i odezwał się:

— Nie mamy dalej ochoty odpowiadać za pańskie nieszlachetne sztuczki wydawnicze. Nie życzymy sobie aby się między publicznością ustaliło mniemanie, jakoby każdy postępowiec musiał być koniecznie szubrawcem.

Młodowski rozsunął powieki szeroko, i patrzył na

U niektórych indywiduów. jak np. u Lockroy, żywił żydowski zaszczerpiony jest na krwawej spuściznie Jakóbina z 93 r. i przedstawia szczególniejszą mieszaninę.

Syn żyda włoskiego, Simona, który długi czas był aktorem pod nazwiskiem Lockroy, i który był rodem z Turynu, deputowany depar. Sekwany, wróg Braci Nauki chrześcijańskiej, jest potomkiem Julliena de la Drôme, który tak smutną rolę odegrał podczas rewolucyi. Wydał on u Calmana Levy, pod tytułem: „Dziennik obywatelki z czasów Rewolucyi“, wrażenia swojej babki, przez resztę wstydu podawszy tylko pierwsze litery jej imienia i nazwiska. I miał rację, gdyż trudno sobie wyobrazić coś ohydniejszego nad ten „Dziennik“.

Ta obywatelka, to istna oblizywaczka gilotyny. Po sposobie, w jaki ta megera przyklaskuje wszystkim zbrodniom, rzezi starców po więzieniach, egzekucjom gromadnym, można odgadnąć duszę napojoną straszną zawiścią. Brzydka zapewne i źle wychowana, nienawidzi ona nienawością posługaczki tę królowę, która panowała w Wersalu raczej elegancyą i wdziękiem niż dostojenstwem swoim. Żadne uczucie szlachetniejsze nie ma do niej dostępu, najgrawa się z tej matki która jest zamknięta w Teple, z tej szczytnej chrześcianki, która gotowa wstąpić na rusztowanie, w ostatnich chwilach pobytu w więzieniu de la Conciergerie, zalecała swoim przebaczenie; nazywa ją Medyceuszką, utrzymuje, że ona wobec gwardzistów przybocznych kazała synowi swemu deklamować wiersze, które się tak kończyły.

„Pałając słusznym wstrętem do gminnego brudu,
„Trzeba umieć, mój synu, przeszyć serce ludu“.

Wie o tem że kłamie, ale co ją to obchodzi! Dzięki takim kłamstwom spadają głowy. Pocziwa natura pragnie do samego końca rozkoszować się konaniem swojej ofiary; hyena chce przynajmniej czuć krew, kiedy jej pić nie może.

Pewnego poranku październikowego, artysta z ołówkiem i piórem w ręku, zasiada w oknie przy ulicy ś. Honorjusza. Obok niego siedzi kobieta, śmieje się, kokietuje, wystawia na pokaz swoje wdzięki straszliwe; nagle błyskawica radości migocze w oczach tej kobiety: szmer przebiegł wśród ludu czekającego na swoją zdobycz, — ukazuje się wóz, wiozący na rusztowanie tę, która była królową Francyi. Furya jednak nie mogła ukryć uczucia niezadowolnienia.

Maryja Antonina była jeszcze majestatyczniejszą aniżeli w Wersalu. Tego dnia, znękana, upadająca pod uciskiem bólesci które zdają się przechodzić ludzką odwagę, nieszczęśliwa znalazła jeszcze dość siły aby być spokojną aż do chwili, na szczęście bliżkiej, w której dochodząc nareszcie do kresu swego długiego konania, zawołała na kata. „Spiesz się wacpan!“

Tym artystą był Dawid, tą kobietą pani Jullien.

Ojciec, sterroryzowany przez tę wdzięczną towarzyszy-

współpracowników swoich, jak na waryatów. Nic nie rozumiał. Co to było? Czy oni poszaleli, czy upili się, zanim przyszli do niego?

— Tak nie może być dłużej — wyrzekł Chłodziński i skłoniwszy się zimno, wyszedł.

To samo uczynili Żmudzki i Czajkowski.

Już się drzwi dawno za filarami „Gwiazdy“ zamknęły, a Młodowski siedział jeszcze na tem samym miejscu nieruchomy, osłupiały.

— Narwańcy! — wybuchnął — Zachorowali na cnotę, hołyszcie! Po co te komedye? Jutro wróca, bo jeść trzeba.

— Ale któż napisze mi artykuł na tych błaznów z „Brzasku“? — mówił do siebie namyślając się. — Chyba Kulesza.

Nakreślił kilka słów na blankiecie redakcyjnym, włożył papier w kopertę, zadzwonił i oddał list chłopcu, mówiąc:

— Natychmiast!

W pół godziny potem wchodził do gabinetu mężczyzna wysoki, tegi, z potężnym nosem barwy fioletowej.

Młodowski wyskoczył na przeciw niego i podsunął mu krzesło.

— Ho, ho! — rzekł Kulesza, zbieracz plotek i wiadomości brukowych — chyba redaktor czegoś potrzebuje, kiedy taki uprzejmy. No, cóż tam nowego? Może wypadło kogo ze skóry obdrzeć, może jakiemu śmiałkowi nawymyślać, he?

kę, głosował za śmiercią Ludwika XVI, zapewniając że zawsze nienawidził króla i że jego ludzkość oświecona, słuchając głosu sprawiedliwości, kazała mu wyrzec wyrok śmierci“.

Syn wrodził się w ojca i w matkę. „Słownik biograficzny ludzi wybitnych z końca XVIII wieku“ tak mówi o synu Julliena: „Trudno opisać jego egzaltację fanatyczną, jego zamiłowanie w egzekucjach, jego bałwochwalstwo dla gilotyny, którą nazywał „środkiem przeczyszczającym na rojalistów“. Gdy miał lat 19 posłano go do Bordeaux, w miejsce Talliena i Ysabeau, których uznano za zbyt łagodnych, i dziki ten chłopak usprawiedliwił nadzieje Komitetu Ocalenia publicznego. Pewnego dnia, jak opowiada Prudhomme, zawołał on na zgromadzeniu ludowym, że „jeżeli mleko jest pożywieniem starców, to krew jest pokarmem dzieci wolności, które spijają na łożu z trupów“.

Listy tego krwawego efebą, którego nazywano *smarkatym szpiegiem* Robespiera, pisane do jego pana, mieszczą się w „Papierach znalezionych u Robespiera“.

Niektóre z nich są arcydziełami przewrotności. Doznaje on nieprzeparłej żądy denuncjowania; denuncjuje Bordeaux, które nazywa „ogniskiem kramarstwa i sobkostwa“; denuncjuje samego Ysabeau „który jada chleb biały, podczas gdy lud żyje bobem“; denuncjuje nawet Carrierę „który żyje w seraju, otoczony beczczelnymi sułtankami, i oficerami (*epauletiers*), którzy mu służą za eunuchów“.

Obok tego miał humor wesoły. Żądał subwencji dla teatru w Bordeaux, chciał odrodzić naród za pomocą baletu. „Widząc—powiada—nieobliczone skutki tego rodzaju uroczystości, uznałem za rzecz zbawienną uraczyć nią, przynajmniej na scenie, całą Francję i ułożyłem małe *divertissement* patryotyczne: „Zaciągi obywatelki“.

Ten właśnie swawolny rys charakteru odziedziczył Lockroy po rodzinie. Przepłynąwszy przez małe dzienniczki, w ślad za Wolffem, przeszedł przez teatr *Dejazet*, zanim wystąpił na scenie politycznej. Jest to wodewilista-prześladowca. Saint-Simon mawiał o Pussorcie, że ma „minę kota rozniewanego“; Lockroy, gdy mu się uda zwrócić na siebie uwagę, ma minę kota zadowolonego. Oko jego ciągle jest baczne, jak oko szulera; przebija się w nim przebiegłość oszusta, który zwoluje tłum, ale ciągle ma się na ostrożności.

Jest sprytny. Dowiódł tego za Komuny. Położenie jego w Paryżu było wielce kłopotliwe. Aprobując działalność rządu powstańczego, ale nie chcąc łączyć się z ruchem, o którym wiedział że upaść musi, znalazł nader zręczny sposób wyjścia. Korzystał z okoliczności, żeby zrobić małą wycieczkę wiejską i zobaczyć, czy lilie wschodzą już w okolicy Clamart'u;—usłudni przyjaciele kazali go pochwyć patrolowi i wypuścili na wolność po upadku Komuny.

Pocziwy lud został przekonany, że ten nieposzlakowany gotów był umrzeć za niego, i od tego czasu uważa go za „porządnego“, za republikanina „numer pierwszy“.

Młodowski przysiadł się do Kuleszy i rozwinął przed nim cały plan kampanii z „Brzaskiem“.

Dziennikarz słuchał, uśmiechał się, a kiedy wydawca skończył, odezwał się:

— A po ile od wiersza?

— Jak zwykle, po cztery—odpowiedział Młodowski.

— Kopiejki?

— Bój się pan Boga! A z kąd bym wziął po cztery kopiejki od wiersza?

— Z kasy.

— Trzymają się pana żarty, jak zwykle.

— W takim razie nie będzie z tej mąki chleba. Porządne lanie, a o takie idzie panu niezawodnie, warte przynajmniej po trzy kopiejki od wiersza.

— Ależ zmiłuj się, panie Kuleszo, wiersz „Gwiazdy“ taki króciutki.

— Do widzenia redaktorowi.

Kulesza podniósł się z krzesła.

— Dam dwie i ćwierć kopiejki — targował się Młodowski.

— Nie lubię takich drobnych ułamków. Niech będzie dwie i pół i zgoda. Za tę cenę sprawie im takie lanie, że się powściekają ze złości. Ale bez podpisu, ma się rozumieć, bo nie mam ochoty do awantur.

— Niechże już tak będzie,—mówił Młodowski—jednak

Podczas ostanich wyborów, ten pajac zdołał dokazać tego, że był zapisany na wszystkich listach. Dziś jest ministrem handlu...
(Dalszy ciąg nastąpi.)

OPOWIADANIE.

przez Autorkę „Opowiadań“.

(Dalszy ciąg.)

— Pan Mateusz przysłuchując się, medytował, gdzieby to był on Opatowiec! Pamiętał, że był niedaleko Słotwin Opatówek... No, to nic złego, żeby się tak dało skojarzyć coś na wsi... Wieś lepsza od miasta, dla dzieci bowiem jedyne świeże powietrze.

Ale kiedy Hanka zanuciła:

Ej, rośla ja rośla,
Nikiej w polu sosna,
Pożal mocny Boże,
Że ja za mąż poszła.

— Nie myśli o zamążpójściu — mówił sobie starzec. — Co prawda, ma jeszcze na to dosyć czasu.

A czas ten upływał błogo i cicho na Pivnej ulicy; minęło już trzy pogodne miesiące, od przybycia Hanka do warszawy. Zdawało się, że ta pogoda trwać będzie do nieskończoności: gdy niespodzianie pewnego dnia nadciągnęła burza.

Pan Mateusz wyszedł raz na miasto, aż tu pod jego nieobecność zastukał ktoś do drzwi.

— Otwórz, Hanuś!—ozwał się z za drzwi głos Nastki.

Hanka otworzyła. Wbiegła Nastka, za nią ktoś niby żołnierz, niby nie żołnierz, niby nie wiedzieć kto...

— Antek, to ty!—krzyknęła Anusia, bo wnet poznała chłopca w tem odzieniu. I zaraz przeszło ją wskrós takie same mrowie, jak wtedy, gdy w Słotwinach Antek powiedział jej „Hanuś, pobierzewa się!“

— To ja,—odrzekł rozradowany strażak.—O! Hanuś, Hanuś! że ja ciebie oglądam... że moje oczy dostąpiły onej radości... aż się zaląłem tej łaski Bożej... I drżał w istocie, niby ze strachu, choć przecież miał wciąż do czynienia z niebezpieczeństwem, rzucał się w ogień, musiał nie być lekliwym.

— Antek,—szepiała Hanka—Antek, Antek... ja tego... o! tego... to ty... z kąd się wziął!... I także drżała.

Tymczasem drzączka tej pary, rozśmieszyła Nastkę, że się w głos poczęła chichotać.

— Z kąd miał się wziąć — tłumaczyła wysmiawszy się dobrze. — Gadałyśmy ciągiem z Hanką, jakby cię Antek znalazł w tem okrutnem mieścisku; a tu nijakiej rady nie

za tak wysoką cenę mam prawo spodziewać się dobrego towaru.

— To już moja rzecz. Prawdę powiedziawszy nie widzę powodu do lania, bo to podobno jacyś niezli ludzie, ale ma kto inny zarobić, wolę ja zgarnąć tych kilkanaście rubli.

— Stary cynik—mruknął Młodowski.

— Dajże redaktor pokój—zawołał Kulesza.—Gdybym posiadał twoje pieniądze, nie wdawałbym się w takie brudy, lecz mnie trudno być czystym... Mam dzieci...

Splunął i opuścił redakcję „Gwiazdy“.

W tydzień potem, na zebraniu „Brzasku“, przeglądał Dramiński świeże czasopisma. Przerzucał stos bibuły szybko ale gdy dotarł do „Gwiazdy“, leżącej na samym spodzie, zatrzymał się przy niej dłużej. Czytał uważnie jakiś artykuł—nagle zerwał się z fotelu i krzyknął.

— A to łajdaki!

— Cóż się stało?—pytano go.

— Poczęstowali nas wszystkich obelgą, a Bolka unurzali w błocie, jak ostatniego zbrodniarza. Wiedziałem, że to hałastra, ale żeby nieszlachetność ludzka mogła dojść do takich rozmiarów, nie miałem wyobrażenia.

(Dalszy ciąg nastąpi)

było... Dziś se poszłam kupować na czepiec dla matuli, aż za Żelazną Bramę... idę se, idę... aż tu mnie ktoś ucałił za rękę... myślę se... nie co, jeno złodziej... i krzyknęłam... aż tu mnie ktoś zowie: „Nastka”. Olaboga!—rzekłam—i tyle... i przyprowadziłam go tutaj...

Nastała ogólna wesołość: usiedli we troje na paradnej kanapie pana Mateusza i zaczęli opowiadać sobie dzieje każdego z osobna. Gwar i śmiechy napełniły mieszkanie pana Mateusza, on wszakże nie nadchodził. Jak nadejdzie, podzieli się z nim radością. On taki dobry, choć go do rany przyłóż; od niego niema już lepszych ludzi! Jakże się też on rozraduje tem odnalezieniem Antka. Wprawdzie dotąd zgoła nic jeszcze o nim nie wiedział, bo Hanka nie miała śmiałości mówić do niego o Antku; ale teraz dowie się już o wszystkim, obie powiedzą, kto jest ten strażak; dopieroż będzie uciecha!

Strażak nabierał otuchy, mimo, że ta zamożność mieszkania, ta Hanka w dostatkiem obecnie położeniu i ten stryj, szewc warszawski, sprawiała mu kłopot jakiś niewytłumaczony.

Pierwsza Nastka usłyszała kołatanie do drzwi i poksoczyła otworzyć. Wszedł pan Mateusz.

Gdyby w tej chwili padł piorun na środek pokoju, nie byłby pewnie tak przerażony starca, jak widok strażaka przy Anusi. Pan Mateusz zbladł, jak trup, oczy mu wyszły na wierzch, mleczny wąż trząsał się nad drgającymi wargami. Starzec zniemił się nagle, pogodę jego oblicza, zastąpił w mgnieniu oka, wyraz srogiego gniewu, w połączeniu z przestraszaniem.

Hanka przepadła do niego, odtrącił ją od siebie.

— Co to jest! krzyknął zdławionym przez oburzenie głosem — Strażak tu?... Hej, po policyę!... najście domu... Albo nie!... wstyd na moje siwe włosy... Strażak tu... kiedy ja za dumem... O! święci niebiescy!...

Było tyle rozpacz w wezwaniu świętych przeciw wstydomu, spadającemu na siwy włos starca, że Hanka zdrętwiała, a wszystka krew z twarzy spłynęła jej do serca, nagle cierpienie odjęło jej mowę.

— Proszę pana, — ozwała się Nastka — to ze Słotwin, Antek Skowronek... on się miał wedle ożenku z Hanką, jeno przyszło rekructwo...

— Milcz zmił! — przerwał, siniejąc teraz z gniewu, pan Mateusz. — A ty, psu bracie, won z mego domu! albo tą starą ręką sprawię ci słodkie Słotwiny. Na Skowronka jest Cep... won ztąd!

Antek wyprostował się, podniósł do góry głowę; duma, jakby mu jeszcze dorzuciła wzrostu, chłopiec był piękny w tej wyniosłej postawie.

— Gdybyście panie nie byli takim siwiuchnym gołąbeczkiem, tyłkobyście zipnęli w mej garści; aleście za leciwi, bym się was tknął... Ja nie psu bracie, jeno strażak! Przyszedłem tu, żeby widzieć Hanke, bo ona moja!...

— Twoja obwiesiu, twoja rakarzu?... Dam ja ci twoją!... won ztąd!

— Moja, moja! — powtarzał chłopiec — bo się z Hanką pobierzemy... niech ona sama powie!

Tego już było nadto, starzec dygotał jak w febrze.

— Panie odpuść grzechy! — zawołał. — Ten padalec zwąchał, że mam trochę grosiwa, i że wszystko, co mam, oddać chcę mej bratance... Pachnie ci chleb lekki... Wiem ja coś ty za ptaszek Skowronku! Takiego ptactwa, jak ty, zleciało się wiele do Anusi w Słotwinach, skoro poczuli, że stary szewc da się pociągnąć, jak mokra skóra... — A zwracając się do Nastki: — Samaś mi opowiadała, ty, Judaszu w spódnicy, że każdy z nich chciał ożenku, łaknął mej pracy... Ale stary szewc nie da się pociągnąć, umie on tylko ściągnąć pociągłem łobuzów... Wara od Anusi! wara od mego grosiwa!...

Teraz zawrzało coś w Nastce. Ceniła ona wysoko pana Mateusza, była mu wdzięczną za pomoc w potrzebie, kochała go całym sercem; lecz gdy starzec popełniał niesprawiedliwość, zarzucając Antkowi rachubę, wrodzoną prawosć, dziewczęcia podniosła się hardo, w obec tej krzywdy strażaka.

— Antek Skowronek, — ozwała się ze łzami — nie stoi, panie, o wasze bogactwo. Tamci co inszego, jeśli się zalotów do Hanki, dopiero kiej wyście przysłali pisanie, że ją chcęcie. Gadałam ci sprawiedliwie do was o wszystkim. Ale Antek miał pomysłonek o Hance bez waszego grosiwa, kiej wy jej nie znaliście jeszcze, kiej się ona najadała wszelakiej biedy. Czemu to wtedy nie było was na jej poratunek, kiej sołtysowie zapiekali niebodge? A Antek był i namówił ją, żeby szła na służbę — i chciał z nią wedle ożenku, nie wedle ladaczności jakiej... Oj, tak ci, panie! — dodała z dziwnym

zapalem — ginęły za Antkiem wszystkie dziewczuchy w Słotwinach, były i takie, co sobie świat zawiązały dla niego, a on boczył od każdej, jeno chciał Hauki, biednej sieroty — i ona też go chciała...

— Chciałam, — potwierdziła Hanka.

Ale starzec nie słuchał już niczego.

— Won, z mego domu! — znowu zakrzyknął. — Nieboszczka Salusia żadnej sługi utrzymać nie mogła; wszystkie leciały w strażacki ogień, przepadły! Won, won!... a jak Anusia chce leżeć w błoto, niech sobie idzie, gdzie chce, ja znać jej nie będę!...

— Ta pójdź! — odrzekł strażak — pójdź na służbę... a za maluczko, da Bóg doczekać, i bez waszego, panie, grosiwa, będzie moją niewiastą, pobierzemy się... głodu nie zazna.

— Anusiu, — zawołał rozdzierającym głosem starzec — ty pójdiesz za nim... za strażakiem?... Dobrze, wybieraj!... wóz, albo przewóz!... albo strażak, albo moja uczciwa opiekalka... Wolę sam zostać, niż z hańbą! Mówił to w uniesieniu, lecz czuł, że postradanie tego ostatniego dziecka, ugodziłoby weń śmiertelnym ciosem.

W sercu Hanki rozpoczęła się teraz straszna walka, serce to dopominało się gwałtownie praw jej i Antka.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NIEDZIELA W EDYNBURGU.

ZE WSPOMNIENIEM PODRÓŻNYCH

St. PIASTA.

Budzę się i spoglądam na zegarek. Jest godzina 9-ta rano. Przykładam zegarek do ucha, słyszę że idzie, więc wyjść z podziwienia nie mogę. Onegdaj i wczoraj wstałem przed godziną 7, a wczoraj nawet poszedłem spać przed 10-tą. Jakaż więc być może przyczyna tak długiego snu? Wyskakuję z łóżka i chwytam gwałtownie za dzwonek.

— *Please* (proszę) — rozlega się głos za chwilę.

— *Come in* (chodź) — odpowiadam, i za chwilę stoi przedemną kelner „Edinburgh hotel” w Edynburgu.

— *What o'clock is it?* (która godzina?) — pytam.

— *A quarter past nine o'clock sir* (kwadrans po dziewiętej, panie) — brzmi odpowiedź.

— *But what is the reason, that I have slept so long to day?* (Ale jakaż jest przyczyna tego, że dziś tak długo spałem?)

— *Reason?* (przyczyna?) — odpowiada — *to day is Sunday* (dzisiaj jest Niedziela).

Tak jest, dziś jest Niedziela w Edynburgu. Ani słowa, Niedziela; opiszmy więc, jak ona tu wygląda.

A wygląda wcale inaczej, niż na stałym lądzie Europy, inaczej nawet, niż w sąsiedniej Anglii. Przeżyjmy ją tu więc od rana do zmroku.

Wstaję tedy o dziewiątej, podczas gdy wczoraj i onegdaj wstałem przed godziną siódmą, mimo że wczoraj spać przed dziesiątą poszedłem. Ale wczoraj i onegdaj od rana wrzało jak w ulu na ulicy, turkot *cabów*, omnibusów i tramwayów spać nie dawał. A dziś co? Wyglądam oknem i cofam się przerażony. Przedemną pomnik Waltera Scotta, dalej, po za ogrodem „High-street”, po bokach gmach poczty i „Royal Institution”. Jest to więc, ani słowa, ulica *K s i a z a t*, ale jakżeż nie podobna do wczorajszej.

Na chodnikach jakby wymiótł; na środku ulicy, jakby po przejściu anioła śmierci, nigdzie konia, nigdzie człowieka. Wczoraj, między tłumem wozów i furgonów, przecisnąć się na drugą stronę nie było można, a dziś sto par mogłoby tu tańczyć mazura i niktby im nie zepsuł ani jednej figury. Jest Niedziela, wszystko więc odpoczywa: i ludzie i zwierzęta i osie od wozów. „Pamiętaj abys dzień święty święcił” czytasz na każdym kroku, święć go więc i ty bezbożniku, przywykły do najlepszej w dniu tym zabawy na lądzie stałym Europy.

Święć więc!...

Ubiaram się i wychodzę na miasto. W hotelu *breakfast* (śniadanie) zbyt wiele kosztuje, trzeba więc zajść do najbliższej kawiarni. Mijam kilka domów, staję przed „*coffee-hause*”, gdzie wczoraj delektowałem się wyborną kawą. Mój „*coffee-hause*” zamknięty. Idę dalej, zamknięty i drugi i trzeci i czwarty i... dziesiąty. Nigdzie więc kawy w Niedzielę tu nie dostanie? Nigdzie, wszystkie bowiem kawiarnie świętują. Wracam zły i zmęczony do hotelu, na szczęście sala restauracyjna otwarta; spożywam *breakfast*, płacę za to cztery szy-

lingi na dwie osoby (około rs. 2 kop. 40) i błogosławię zwyciężając tego grodu, bom wczoraj jadł lepsze śniadanie na mieście za niecałego szylinga.

Dzwonię na kelnera.

— Gdzie dziś dostać mogę obiad w Edynburgu? — pytam.

— U nas, w hotelu „British“, w hotelu „Balmoral“, w hotelu „Temperance“ obok, w hotelu...

— A oprócz hoteli?

— Nigdzie. *To day is Sunday* (Dziś jest Niedziela).

Sunday! Będę więc obiadował w jednym z hoteli i płacił cztery razy więcej niż w dzień powszedni.

Ale oto godzina 11. Na ulicy robi się ruchliwiej. *Cabów* wprawdzie i omnibusów jak nie było tak nie ma, ale na chodnikach snują się procesyje ludzi. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Wszyscy ciągną w jedną stronę, każdy ma niewielką książkę w ręku.

Gdzie dążą te procesyje?

Do kościoła.

Podążam i ja za nimi.

Przechodzę most, „Canongate“, „High-street“ i jestem na placu przed kościołem *St. Giles*. Na wieży zegar wskazuje trzy kwadransy na jedenastą, kwadrans więc czeka trzeba pod gołęb niebem, zanim wrota otworzą. O, bo w Edynburgu są porządni, bardzo porządni — przybytki Pańskie stoją tam otworem wtedy tylko, kiedy odbywa się służba Boża. A służba Boża w kościele *St. Giles* trwa od 11 do 1, przedtem do kościoła wejść niepodobna. Czekam zatem najcierpliwiej w świecie i, przez ten czas, lustruję okiem wszystkich, którzy tu przyszli złożyć hołd Panu.

Towarzystwo z inteligencji, ale jakież od naszego, dążącego do kościoła, różne! Podczas gdy u nas, w tłumie spieszących do świątyni, kobiety i dzieci przeważają, tu przeciwnie, mężczyźni są w większej liczbie. Nie „wstyd“ im, że każdy trzyma książkę od nabożeństwa w ręku, że każdy ma minę pokorną i skruszoną, że każdy idzie złożyć hołd Bogu. Wszyscy, których cały tydzień przykuwał do ciężkiej pracy w domach, w Niedzielę przed kościołami są także wszyscy; chcą pomodlić się w świątyni do Tego, który ich z nicości wczoraj powołał i jutro w nicosć wtrąci, gdy zechce, może.

Ale oto na zegarze bije jedenasta, drzwi świątyni otwierają się na rozcięż.

Fala znajdująca się na ulicy, porusza się w jedną stronę, każdy powoli, bez tłoczenia się przez drugiego, skierowując się po schodach do drzwi, a za chwilę na „High-street“ głucho i cicho, znak oczywisty że nabożeństwo odbywa się w kościele.

Wiernych w kościele dużo, bardzo dużo. Olbrzymia świątynia zapełniona jest niemal po brzegi. Każdy siedzi na ławce, twarzą do kazalnicy, przed każdym leżą drukowane psalmy.

Na kazalnicy ukazują się dwaj duchowni. Ubrani w długie, czarne surduty z białymi wylogami i obszywkami z tyłu, sadowią się oni naprzeciwko siebie i czas jakiś pograżają się w milczeniu. Wszyscy milczą i myślą tylko powtarzając słowa wzniosłej modlitwy: „Ojczy nasz, któryś jest w Niebie“.

Nagle jeden z nich podnosi się z siedzenia. Podnosi się i głosem spokojnym, zimnym, wypowiada numer psalmu.

Wszyscy odszukują wskazany psalm w Biblii i za chwilę, za duchownym, zaczynają powtarzać jego słowa. Poczem dają się słyszeć organy; wszyscy, wedle wskazanej przez muzykę melodi, rozpoczynają śpiew, a po chwili wszyscy, za pastorem, padają na kolana i głośno, znowu za nim, powtarzają słowa modlitwy.

Jest to zimne, ale wrażenie robi. Ta karność wobec duchownego, który tu nad wszystkimi panuje, ma coś podniosłego w sobie, widzisz że wszyscy ku jednemu celowi mają tu skierowane myśli, że nikt w niewłaściwy sposób nie chwali tu, w tym przybytku, Pana. I choć przywykli jesteście do uroczystszych modłów, choć ta zimna powaga, jaka tu panuje, wyobraźni twej bodźca nie dodaje, przecież godzisz się z takim czczeniem Boga, gdyż ta zgodność i harmonia serc modlących się w tem miejscu, mówi ci ciągle o Tym, który jest uosobioną zgodnością i harmonią.

Po modlitwie, znowu pastor poważnym głosem czyta numer psalmu, znowu zaczynają się szepty wiernych, muzyka znowu na organach daje się słyszeć, i znowu wreszcie śpiew całego zgromadzenia ulatuje poważnie ku Niebu.

I tak dalej i tak dalej. Czytanie psalmów, śpiew i modlitwa głośna zapełniają całe dwie godziny; gdy jeden pastor przestaje przemawiać, rozpoczyna drugi, i ani się obejrząc jak na zegarze kościelnym bije godzina pierwsza, znamionując wszystkim koniec nabożeństwa.

Koniec. Każdy więc składa Biblię, chowa ją starannie do szufladki w ławce i, w tym samym porządku w jakim przyszedł, wychodzi na ulicę, aby tu przybyć znowu w następną Niedzielę.

Tak jest w kościele *St. Giles*, gdzie wykwiłtniejsze zbiera się towarzystwo, pójdźmy więc teraz do kościoła ustronnego, gdzie się modlą wierni z ludu.

Kościół to surowy i poważny, jak surowym i poważnym był ten, który mu nazwę nadał: kościół *Knoxa*.

Jak dom tego fanatyka-reformatora, tak i kościół jego wcale niepokaznie wygląda. Na oko nawet nie patrzy on wcale na kościół. Przylepiony do budynku gdzie *Knox* największą część życia spędził, wygląda, jakby był dalszym ciągiem tego budynku, brudno, posępnie, biednie. Lękasz się wejść do jego wnętrza, tak jak wczoraj obawiałeś się wejść pod dach domu gdzie reformator mieszkał, oglądasz się po za siebie, ale nie zważając na ciebie fala pcha cię w kierunku prostym, — wchodzisz.

Kościół *Knoxa* i wewnątrz wrażenia kościoła nie robi. Ponuro tu i zimno, jak na zewnątrz. Dwa okna wprost wejścia umieszczone dają zgromadzonemu światło, a ławki rzędem wzdłuż sali stojące, dają im miejsce. Na oknach widnieją dwie daty: rok 1505 i rok 1572. Pierwsza jest datą narodzin *Knoxa*, druga chwilą jego śmierci. O tych dwóch datach każdy przychodzący tu — pamiętać winien, bo gdyby nie one, Szkocya dziś może miałaby charakter inny.

Ale oto drzwi kościoła zamykają, na froncie ukazują się pastor, rozpoczyna się nabożeństwo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA POSTERUNKU.

„Ateneum“ o kwestyi żydowskiej. — Ciekawy pogląd i pięć sentencji u c z o n e g o socjologa. — Pracownicy-żydzi i darmozjady-chrześcianie. — „Kupa“ i „praca“. — Niektóre wątpliwości i uprzejma prośba o ich wyjaśnienie. — Cyfry komisji wyznaczonej do zbadania „sprawy żydowskiej“. — Fabryki żydowskie i ich robotnicy. — „Kupy“ robotników-goimów i „kupki“ robotników-żydów. — Wątpliwość co do użyteczności pewnych ras długotrwałych. — Konieczność wyjaśnienia. — Nie ja, ale tacy...

Nie w byle jakim organiku, dobijającym się faworów i uznania w złocistym świecie finansjery starozakonnej, lecz w organie poważnym, z poważnym tytułem: „Ateneum“, znalazłem tak ciekawy pogląd na „sprawę żydowską“, że nie darowałbym sobie, gdybym z nim nie zapoznał czytelników moich.

Oto więc, czego uczy ekonomista pokroju europejskiego — z „Ateneum“ — „ekonomistów domorosłych“ i różnych antisemitów, którzy „mszczą się na całym pokoleniu (?) za to, iż *Chaimek* z a ż a d a ł z w r o t u p o ż y c z o n y c h p i e n i ę d z y i nie dopuścił do licytacji chrześcijańskiego spółlicytanta!“ :

1) Żydzi wprzód muszą z a r o b i ć, a potem dopiero jedzą, podczas gdy chrześcijanie jedzą i „podjadają“ dwa razy więcej, a o tem co zarabiają „nie warto i mówić“.

2) Żydzi nas pobijają: trzymaniem się kupy i *praca*.

3) „Domorośli ekonomiści“ powiadają, że żydzi są, jak byli ich ojcowie, pasorzytami; tymczasem n a p r a w d ę między żydami mniej jest próżniaków i żebraków, niż między resztą ludności naszego kraju.

4) Te warstwy (żydowskie) które można średniemi nazywać, krzątają się, *pracują*, handlują, a przedewszystkiem kombinują i myślą.

5) Taka rasa nie zginie.

6) Żydów można zwalczać tylko za pomocą konkurencji ekonomicznej, nie zaś zwykaną lub hecowaniem.

Przedewszystkiem u c z o n e m u autorowi z „Ateneum“ winienem ukłon za nowe spostrzeżenie, jakie mi nasunęły jego sześć sentencji, wziętych żywcem z jego wysoce naukowej rozprawy. Widzę bowiem dość jasno, że nie tylko „*Rola*“, lecz większość pism warszawskich, że nawet „*Izraelita*“, „*Prawda*“ i „*Przegląd Tygodniowy*“ są pismami antysemitycznymi. Bo jakkolwiek szacowne te organa postępu, z całym legionem większych i mniejszych towarzyszy, stają zawsze do boju za sprawę „*polaków moźeszowych*“, to jednakże ich animusz i ich śmiałość rycerska nie wzniosły się ani razu do takiego szczytu... bohaterstwa. Brakło im najwidoczniej odwagi. Organa wspomniane pouczają wprawdzie ciemne i barbarzyńskie społeczeństwo polskie o wysoce liberalnych i arcy-humanitarnych dążnościach Izraela; ale żaden z nich — jak to właśnie uczynił u c z o n y publicysta z „*Ateneum*“ — nie dźwignął swego s z t a n d a r u tak... wysoko i nie zawołał

z równą śmiałością: próźniaczy i zjadający chleb darmo — ty narodzie polski! Ukorz się, schyl głowę przed rasą, przed żywołem, który choć nie stanowi „rdzennej” ludności twego kraju, żywi go jednak i utrzymuje swoją „kupą” i swoją „pracą”. Tak — *pracą!*

I musi tak być w rzeczy samej skoro, jak wspomniałem, mówi nam o tem nie żaden świstek judofilsko-brukowy, ale organ poważny, którego o humorystykę w artykułach „wstępnych” posądzić niepodobna.

W pokorze tedy ducha schylam skroń przed uczonością ekonomisty europejskiego, miażdżącego wproch „ekonomistów domorosłych”, bluźniących prawdzie i nierzumiących. dzięki ciasnocie swych poglądów, jakoby żydzi stali i pobijali nas nie *pracą* (ach, jakże cudownie brzmi ten wyraz, gdy go się odnosi do żydów!) ale podłością, wysyskiem i pasorzytnictwem. Ze jednak, widząc tyle mądrości tryskającej z „naukowego miesięcznika” i tyle bijącego zeń światła, ja niżej podpisany śmiertelnik i znany — według słów żydowskich — „nieuk”, chciałem z tego światła ściągnąć dla się jak najwięcej promieni, przeto czyby mnie uczoney socyolog i ekonomista nie raczył oświecić w wątpliwościach niektórych?

1) Co prawda, to pierwsze cztery sentencje, dotyczące wielkiej pracowitości żydów, a wielkiego lenistwa i próźniactwa chrześcian, nie zawierają zbyt nowego odkrycia — i gdybym nie miał bezwarunkowej wiary w uczoność i rozległą wiedzę pozytywną ekonomisty z „Ateneum”, mógłbym go posądzić o — plagiat. To samo już albowiem powiedział nam, przed dwoma laty, słynny i pamiętny „memoryał” giełdowy, podpisany przez znakomitych także finansistów i... ekonomistów warszawskich. I tam tutejsze społeczeństwo „rdzenne” nazwanem zostało zgrają nieponiów, próźniaków, niedołęgów, ludność zaś starozakonna elementem uosabiającym pracę i podstawową siłę, podtrzymującą byt kraju. Alisci zjawiała się potem ankieta komisji wyznaczonej „do zbadania sprawy żydowskiej” w kraju tutejszym i dała nam *cyfry* urzędowe, z których okazuje się, że na ogólną liczbę „obywateli starozakonnych”, trudniących się rolnictwem, rzemiosłem, handlem, adwokaturą, medycyną, felczerstwem etc., — 552.875 tychże obywateli „nie posiada zajęć określonych, to jest żyje i utrzymuje się niewiadomo z czego”. Czyby więc uczony socyolog i ekonomista z „Ateneum” nie raczył nam, „nieukom”, objaśnić tej, dość dziwnej sprzeczności? Być bowiem bardzo może iż owe pół miliona z czubem jednostek „pracowitych”, „kombinuje i myśli” nad stworzeniem nam rajy, że przygotowuje nam w cichości... jakieś wrota do dobrobytu i szczęśliwości społecznej, a my... nic o tem nie wiemy! To jedna wątpliwość, a mam jeszcze i inne.

2) „Żydzi stoją kupą i pracą” — powiada ekonomista z „Ateneum” i, jako uczoney, nie przypuszcza zapewne iżby mógł ktoś nie wierzyć mu na słowo. Ja mu też wierzę, tylko że znowu nastęrcza mi się kwestya, z którą w „nieucztwie” swoim nie umiem dać sobie rady. Mianowicie, czy pracowici żydzi idą „kupą” tam tylko, gdzie mają na widoku wyzysk i oszustwo, nie umiających w tym kierunku „myśleć” ani „kombinować” *goimów*, czy też stoją oni także i trzymają się „kupą” przy pracy produkcyjnej? Ankieta bowiem, o której już wspomniałem, dała nam w statystyce swojej (ach ta statystyka!) takie znowu trzy cyfry: „W roku 1884 znajdowało się w 10-ciu guberniach Królestwa Polskiego, z wyjątkiem Warszawy, 1,219 fabryk będących własnością żydów, a 62 dzierżawionych przez żydów. W fabrykach zaś tych, żydowskich, na ogólną cyfrę 17,774 robotników — było robotników-żydów 145, wyraźnie *stu czterdziestu pięciu*”. I otóż znowu sprzeczność, o wyjaśnienie której my, „nieuki” z „Roli”, gdzie się mamy zwrócić, jeżeli nie do uczonych mężów z „naukowego miesięcznika”? Bo jeżeli „naprawdę wśród żydów jest mniej próźniaków aniżeli wśród chrześcian”, i jeżeli także „naprawdę” żydzi stoją „kupą” i pracują „kupą”, to dlaczego w onej „kupie” fabryk żydowskich jest tak wielka „kupa” próźniaków-*goimów*, dających fabrykom tym byt i rozwój oraz ich właścicielom krocie, a „kupka” natomiast *pracowitych żydów* jest tak homeopatyczną, nic zgoła nie znaczącą? Co też to, proszę pana uczonego socyologa, ma na prawdę znaczyć?

3) „Taka rasa nie zginie”. I przed tą sentencją uczonego autora z „naukowego miesięcznika” schylam głowę w pokorze. Tylko znowu, wobec „ciasnoty” moich poglądów „domorosłych”, nie umiem sobie wyjaśnić dostatecznie pytania: czy rasa ta nie zginie dlatego, że nas próźniaków *pracą* swoją wzbogaca, czy też dlatego że, jak znowu utrzymują „ciemni antisemici” (a między

nimi prof. Treitschke, prof. Dübring, prof. dr. Rohling etc.), zjadają pracę naszą i naszym żyją kosztem? Wiem że rasa szczurów jest rasą także bardzo dawną i że także prawdopodobnie „nie zginie”; nie zdaje mi się jednak aby to miało dowodzić użyteczności szczurów, i aby każdy rozumny i porządny gospodarz nie pragnął pozbyć się ich z domu. Czy więc i w tym wypadku, w głębokich poglądach uczonego ekonomisty z „Ateneum”, nie zachodzi sprzeczność lub nieścisłość jakowa?

4) Żydów „można zwalczać nie hecowaniem (!?), ale za pomocą konkurencji ekonomicznej”. Prześlicznie; mądrość tego zdania trafiłoby powinna do mózgu największego nawet „nieuka”. Tylko dla mnie jest tu znowu wątpliwość. Jeżeli żydzi za nas próźniaków „pracują”, „kombinują” i „myślą”, i jeżeli są „naprawdę” naszymi dobroczyńcami, to dlaczego mielibyśmy ich „zwalczać”?

Ani chcę wątpić, że uczoney ekonomista z „Ateneum” nieścisłości powyższe, w dalszym ciągu swych rozpraw, wyjaśni nam raczy. Jest to zaś tembardziej pożądanem, że po obeldze, jaką „najwybitniejsi przedstawiciele” tutejszego żydowstwa, w pomnikowym „memoryale”, cisnęli w twarz społeczeństwu polskiemu, zwiększyła się znakomicie liczba „zacofańców”, według których, takie mizdrzenie się do żydów i dziś jeszcze, takie publiczne a nie oparte na niczem wysławianie ich cuót jest rzeczą przynoszącą wstyd i hańbę publicystyce polskiej — i jest robotą prowadzącą chyba do zabicia w nas resztek godności narodowej. Mogą wreszcie znaleźć się i tacy..., co odczytawszy uczone wywody o żydach uczonego socyologa z „Ateneum”, zapytają poprostu: Jako? — więc pismo wychodzące pod hasłem „nauki” i „wiedzy” może kompromitować i „wiedzę” i „naukę” drukowaniem aż tak... śmiałych — bzdurstw? Ja tam tego, jako żywo, nie powiem — bo mi uczoność i elokwencya nowego filosemity wielce zaimponowała; ale mogą być tacy...

Kamienny.

Z CAŁEGO SWIATA.

Parę słów o skandynawach.—Choroba królowej szwedzkiej i jej lekarze.—Oryginalny a skuteczny system kuracyjny.—Do „naszych królów”.—Skutki newrozów w Londynie.—Jack.—Niedołęstwo policyi londyńskiej.—Fałszywe wieści.—Czy go schwytano?—Podróż balonem ponad Atlantykiem.—Poświęcenie, czy szaleństwo?—Odpowiedź Mackenziego.—Cesarz Wilhelm we Włoszech.—Zabiegi Crispiego robią *fiasco*.—Demonstracje antiniemieckie.—Cesarz w Watykanie.—Nowa klęska centralistów wiedeńskich.—Zmiany w gabinecie hr. Taaffeego.

Narodem, który w ostatnich czasach nie robi o sobie wiele hałasu po świecie, nie rozumie się nic a nic na blade, a przed którym mimo tego warto zdjąć czapkę, są bezsprzecznie szwedzi i wogóle skandynawi. Cywilizacja właściwa, oryginalna, nie naśladowana ślepo, idzie u nich po cichu, spokojnie, ale idzie ciągle naprzód wszystkimi drogami; postęp ten i oryginalność zarazem znać we wszystkim: w rzemiosłach, w sztuce, w wychowaniu, w nauce, w literaturze. Na cywilizacyjny dorobek pracują przeważnie własnymi siłami, nie narzucają się nikomu, a jednak mimo to, a może właśnie dla tego inni biorą od nich i korzystają z tego co oni ze skarbnicy wiedzy ludzkiej samodzielnie przysporzyli. Pedagogika mianowicie wiele od nich zapożyczyła, a jedynym dziś oryginalnym pisarzem dramatycznym jest Ibsen.

Ale i medycyna, jak się pokazuje, ma u nich charakter oryginalny i — racjonalny. Jakiś czas temu zachorowała królowa szwedzka, a zachorowała na nerwy. Wiadomo, że szwedzi bardzo są przywiązani do swojej dynastyi, więc wieść o tej chorobie przejęła smutkiem naród, a lekarze szwedzcy, stojący na wysokości medycyny europejskiej, użyli wszelkich środków, jakie im nauka podawała, na zwalczenie złego, które się nieproszone w organizmie królowej zagnieździło. Ale choroby nerwowe, jak to nawet nam profanom wiadomo, są uparte, a w tym naszym wieku, który sam jest *par excellence* nerwowym, upartsze niż kiedykolwiek; — otóż newroza królowej ani rusz nie chciała ustąpić przed powagą nauki europejskiej.

Co tu robić? Rada w radę, i uradzili panowie konsyliarze szwedzcy, żeby porzuciwszy europejskie środki, wziąć uparcichę newrozę po szwedzku, za rogi; odrzucili wszelkie lekarstwa a przepisali sposób życia pacjentce. Królowa wstaje o 7 zrana, ściele sobie sama łóżko, zamiata pokój, wypija filiżankę mleka, potem idzie do ogrodu gdzie obiera drzewa z liszek lub innymi ogrodnictwami zajmuje się pracami aż do godziny szóstej wieczorem, z godzinnym tylko wypoczynkiem, podczas którego zjada śniadanie. O szóstej

obiad, potem parę godzin dowolnego zajęcia, a o 9-tej wieczorem do łóżka.

I wyobraźcie sobie Państwo, choroba, która snąc dla tego tylko wlaźła w ciało królowej, że się spodziewała spokojnie i wygodnie w niem wylegać, poczyną ustępować i już tylko od czasu do czasu zagląda do tego mieszkania które uważała za tak wygodne, żeby zobaczyć, czy się tam co na lepsze nie zmieniło. Ale królowa co dzień ściele łóżko i pracuje w ogrodzie, więc jejmość newroza wynosi się czempredzej z coraz bardziej na kwintę spuszczonego nosem i podobno w tych dniach zabrała już ostatnie swoje manatki.

Życzę jej szczęśliwej drogi na bory, na lasy, a naszym paniom życzę aby przyjęły system szwedzki, nie czekając na newrozę, jest on bowiem wyborny nawet jako przewencyjny. Można na nim zaprowadzić pewne zmiany, np. nie jest rzeczą konieczną liszki obierać; grunt stanowi sama zasada...

Na szczęście, mogą mieć nadzieję, że się życzenie moje spełni, panie bowiem nasze i bez tego okazują coraz jawniej zapal do czynnego zajęcia i w tych dniach pojawiła się w jednym z pism naszych odezwa do narodu od jednej z „naszych królowych“, w której oznajmia, że zabiera się do „pracy czynnej, o szerszym od literackiego biurka zakresie“. Do jakiego rodzaju zajęć policzyć należy eksploatawanie negrów na plantacjach męzowskich, ja tam nie wiem; ale że zakres tych plantacyj jest większy od zakresu niewiedzień jakiego biurka, to pewne. Tem samem przedstawia on większe pole do agitacji i działa skutecznie przeciw newrozii... *Quod erat demonstrandum...*

Dyabelnie musi cierpieć na newrozę p. Jack, mytyczno-legendowo-fantastyczny obywatel Londynu, który snąc w atakach tej okropnej choroby, morduje w okrutny sposób po ulicach kobiety, — na szczęście wyłącznie kobiety nader brzydkiej kondyty. Bądź, co bądź, mord jest mordem, okrucieństwo okrucieństwem, a bezkarność, z jaką złoczyńca już dziesięć ofiar pozbawił życia w sposób oburzający, jest hańbą dla władzy bezpieczeństwa publicznego w Londynie. Od paru miesięcy cała policja jest na nogach, miasto całe, na które padł strach paniczny, bierze żywy udział w tropieniu zbrodniarza, który już dziesięć ofiar zarznął i pokrajał, ogłoszono ze składek zebrane nagrody za jego wykrycie — i wszystko nadaremnie. Teatrem głównym tych krwawych scen jest dzielnica Whitechapel, złożona z labiryntu uliczek, przejść i przesmyków, w które nawet zbrojni konstable nie lubią się zapuszczać. W dzielnicy tej jest również mnóstwo tak zwanych *common lodgings* (wspólnych mieszkań), t. j. pewnego rodzaju hotelów, do których, za pewnem wynagrodzeniem, przyjmują na nocleg każdego, bez żadnej legitymacji. Można sobie wyobrazić co to za gniazda zbrodni i upadku moralnego!

Parę razy rozchodziła się już wieść że mordercę złapano; parę razy jakieś indywidua same zgłaszało się do władzy, oświadczając że są owym złoczyńcą, któremu się już sprzykrzyło krwawe rzemiosło; — niestety za każdym razem wieść okazywała się fałszywą a zgłaszający się waryatami. I teraz znów miano schwytać *hominem quaestio-nis*, który ma się zwać Fitzgerald, ma być amerykańcem, i miał się przyznać do wszystkiego, — ale czy to prawda, czy taka jak dawniejsze plotka?... Zobaczymy.

Różne są gusta i guściki; jedni znajdują jakąś snąc dziką rozkosz w nakręcaniu karku innym, drudzy w nadstawianiu własnego. Do pierwszych należy Jack czy Fitzgerald londyński, do drugich p. Jovis, amerykańcin, który się uparł balonem z Europy ponad Atlantyk do Ameryki polacieć. *Volenti non fit injuria*, więc też zuchwały projektowicz uzyskał z różnych stron fundusze na doprowadzenie do skutku swego zamiaru, a Paryż udzielił mu bezpłatnie placu na zbudowanie olbrzymiego balonu, obejmującego 25,000 metrów sześciennych; ale najsmielsi nawet a zarazem najkompetentniejsi fachowcy i uczeni uważają przedsięwzięcie to za istne szaleństwo. Czy p. Renard doszedł już do ostatniego słowa zagadki sterowania balonem, nie wiemy, ale wiadomo, że p. Jovis sztuki tej nie posiada, — a o prądach powietrznych ponad Atlantyk wiadomo tylko tyle, że bywają niesłychanie gwałtowne. Wobec takich danych, zniszczenie balonu i śmierć areonauty są jedynymi pewnymi wynikami lekkomyślnej antreprzyzy — a ofiara z życia, bez nadziei nawet osiągnięcia jakichkolwiek celów, nie jest poświęceniem ale poprostu — głupstwem.

Odpowiedź D ra Mackenziego na zarzuty lekarzy niemieckich ukazała się nareszcie, — i o dziwo! choć trzymana jest w tonie poważnym, naukowym i arcy przyzwoitym, choć stron politycznych nie porusza prawie wcale, a odnośnie do osoby zmarłego cesarza wyraża tylko najwyższą cześć i uwielbienie — przekład jej niemiecki skonfiskowany został

na granicy i nie wpuszczony do Niemiec. Śmieszny ten krok tem mniej może być usprawiedliwiony, że wszystkie pisma austriackie, po niemiecku wychodzące, podały zaraz nader obszernie tej broszury streszczenia, z których niemcy dostatecznie zakosztować mogą zakazanego owocu, a przeciw wszystkim dzienników austriackich, gwoli temu streszczeniu, niemcy chyba u siebie nie skonfiskują. Może i my podamy na tem miejscu wyciąg z pracy doktora angielskiego, choć wystarczy powiedzieć, że wszędzie wykazuje on nieuctwo lub złą wiarę swoich oskarżycieli, choć nie korzysta jeszcze z wielu znajdujących się w jego rękach dokumentów, gdyż mu, jak objaśnia, publikować ich „jeszcze nie dozwolono“. Z całej jednym słowem odpowiedzi Mackenziego znać człowieka, który coś umie i człowieka dobrego towarzystwa, podczas gdy z broszury niemieckich doktorów były: bezzasadna arogancja, i gruby, nieokrzesany obyczaj.

P. Crispi wysadził się na przyjęcie cesarza Wilhelma nietylko w Rzymie, ale we Włoszech. Od samej granicy pourządzał manifestacje ludowe na cześć dostojnego gościa, nie żałował zabiegów i pieniędzy, bo chodziło mu z jednej strony o pokazanie francuzom, na jakiej on to serdecznej stopie żyje z Niemcami; z drugiej o zgnębienie ostateczne Papieżta, przez zabranie odwiedzin cesarskich na wyłączną własność dworu i narodu włoskiego i zyskanie uznania faktu, że w Rzymie jeden tylko jest monarcha: król włoski.

Zawiódł się jednakże grubo. Wśród kulminacyjnego punktu przyjęcia zaraz w dniu pierwszym, na spędzonym zewsząd tłum ludu włoskiego i na gości niemieckich posypały się niezliczone kartki czerwone, z napisem: „Śmierć niemcom! Niech żyje Francya! Niech żyje Alzacja i Lotaryngia!“ To irredeuta zakładała krwawy protest przeciw autinardowej polityce p. Crispięgo.

gorzej jeszcze jego intencje względem Stolicy Apostolskiej popsuł cesarz, który do Watykanu wyjechał we własnej, naumyślnie z Berlina sprowadzonej karecie, nie z Kwirynału, ale z poselstwa niemieckiego przy Watykanie — dając tem poznać, że Papieża traktuje jako udzielnego monarchę, którego w jego stolicy odwiedza. Treść półgodzinnej rozmowy sam na sam cesarza z Ojcem S-tym pozostaje tajemnicą; mogła ona nie mieć donioślejszego znaczenia, ale może też i brzemioną była w przyszłość.

Centraliści wieńdęcy dawno już z takiego szczytu złotych nadziei nie spadli w taką otchłań rozczarowania. Gdy cesarz Wilhelm w rozdawnictwie orderów pominął hr. Taaffęgo, zdawało im się że ten przepadł już bez ratunku, widzieli już władzę napowrót w swoim ręku; — tymczasem zamiast upadku, gabinet autonomiczny wzmocniony został nowymi siłami.

Miejsce przyciśniętego już wiekiem Ziemiałkowskiego, ministra dla Galicyi, zajmuje pełen sił dotychczasowy namiestnik galicyjski Filip Zalewski; minister sprawiedliwości Prażak zostaje ministrem dla Czech, o którą to tekę w gabinecie austriackim oddawna upominali się czesi nadaremnie; ministrem zaś sprawiedliwości zamianowany jest hr. Schönborn, dotychczasowy namiestnik Morawii, znany autonomista i zwolennik teorii domagającej się koronowania cesarza austriackiego na króla Czeskiego.

Tak więc panowie centraliści, którym tak władza smakuje, a której tak dawno jej już nie kosztowali, i teraz jeszcze, i to zdaje się na długo, będą się musieli obejść — samym smakiem.

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Dobre rezultaty. Ogłoszonym zostało drugie już z kolei sprawozdanie „Warszawskiego Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu“, obejmujące okres czasu od d. 1 Lipca r. z. do d. 30 Czerwca r. b. Sprawozdanie zaś to świadczy bardzo wymownie, że nowa instytucja, mimo — albo może właśnie dlatego — że u jej steru nie stoją urodzeni finansisci... starozakonni, rozwija się pomyślnie i przynosi rezultaty dobre — nawet bardzo dobre. Przy kapitale zakładowym wynoszącym 300,000 rubli, a podzielonym na 400 akcyj, obrót kasowy Towarzystwa uczynił 1,086,565 rs., obrót zaś ogólny 22,405,720 rubli. W okresie sprawozdawczym, Towarzystwo wywoziło okowity 14,524 beczek, zawierających 67,650,448 stopni, czyli 845,630 1/2 wiader 80 cio stopniowych, a zysk na tej operacji, wraz z zyskiem na 13,150 beczkach dostarczonych klientom, uczynił 33,783 rs. Po odpisaniu z tej sumy: 3% na podatek rządowy, 5% na amortyzację sumy włożonej

w zakład rektyfikacyjny i 5% na kapitał zapasowy, pozostało do dyspozycji ogólnego zebrania rs. 29,557 kop. 60.

Dyrektorem handlowym Towarzystwa jest p. Ksawery Radziszewski; dyrektorami zaś zarządu: p. Władysław Przyłubski (przewodniczący), Feliks hr. Czaeki, oraz p. p. Kazimierz Czarnowski, Stanisław Okęcki i Stanisław Zawadzki. Nie ma tu więc, jak widzimy i jak już wspomnieliśmy, ani jednego z nrodzonych finansistów żydowskich, a jednak instytucji jest z tem bardzo dobrze i stan jej finansowy nie pozostawia nic chyba do życzenia.

Nowe sklepy. W Kluczkowicach (powiat Nowo-Aleksandryjski), pani Marya Kleniewska, małżonka właściciela tych dóbr, założyła sklep z przedmiotami najniezbędniejszymi w życiu wieśniaczem. Kapitał zakładowy sklepu wynosił rs. 700, a mimo że sklep istnieje dopiero od Lipca r. b., targ dzienny wynosi już obecnie 15 rubli przecięciowo. Główną klientelę sklepu stanowią włościanie, którzy dziś dopiero przekonywają się do wiodnie, jak dalece wyzyskiwani byli w sklepach żydowskich i jak skuteczną dla nich obroną od wyzysku jest obecnie nowy sklep chrześcijański, — w którym naturalnie wszystkie towary są jedynie w gatunkach dobrych, a ceny ich, obok rzetelnej miary i wagi, możliwie przystępne.

Takiż sklep i również z inicjatywy żony właściciela majątku, powstał w Kijanach w pow. Lubartowskim. Tutaj kapitał zakładowy wynosił rs. 1,000, a przecięciowy targ dzienny doszedł już obecnie do 30-stu rubli. Obok też sklepu tego, zaopatrzonego głównie w towary kolonialne i w ogóle spożywcze, ma powstać wkrótce drugi — z towarami lokalnymi.

Tak więc, sprawa zakładania sklepów chrześcijańskich po wsiach, osadach i miasteczkach, zakreśla coraz szersze kręgi, pociągając ku sobie coraz większą liczbę jednostek energicznych. Przykład i powodzenie jednego działa za przykładem i na drugich, tak, że dziś wytrącenie z rąk żydów monopolu, rujnującego kraj i najprodukcyjniejsze warstwy jego ludności, nie zakrawa już bynajmniej na — mrzonkę.

Magazyny zbożowe. Zawija się w Warszawie spółka kapitalistów, z celem pobudowania w pobliżu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej nowych magazynów zbożowych, na wzór istniejących już przy drodze Warszawsko-Terespolskiej.

„Podporządkowywanie“ w praktyce. „Kuryer Warsz.“ podał świeżo fakt następujący:

„W Okuniewie pod Warszawą zdarzył się, w tych dniach, tragiczny wypadek, dowodzący strasznego zepsucia wśród ludności miejscowej. Dzierżawca folwarku Zabraniec, należącego do dóbr Okuniewskich, p. Antoni Glinka, człowiek powszechnie szanowany, miewał ciągle przepawy z okolicznymi mieszkańcami, którzy mu czynili straszne szkody w polu. Widząc, jak w biały dzień 12 stu włościan wpędziło konie w kartofle, które właśnie kopano, pan G. pospieszył do szkodników ze słowami perswazyi. Była to prośba, bez cienia pogroźki, — wywołała jednakże fatalny skutek“. Bo oto, jeden z „ludu“ uderzył pana Glinkę kamieniem w głowę tak silnie iż biedny człowiek upadł zalany krwią, tracąc przytomność. I nie koniec na tem. Inni „włościanie“ ujrawszy obezwładnioną ofiarę rzucili się ku niej i zadawali panu G. tak ciężkie razy, że ciało jego przedstawia jedną, wielką ranę.

„Nieszczęśliwy — dodaje „Kuryer“ — żyje dotąd lecz, z powodu pobicia, a głównie naruszenia mózgu, jest bezprzytomny i lekarze czynią słabą nadzieję co do jego uratowania“.

To się nazywa i — tak wygląda w praktyce „podporządkowywanie interesów innych warstw społeczeństwa interesom ludu“.

Handel firmą nieboszczyka. Przed dwoma laty zmarł jeden ze znanych w Warszawie pieczętarzy, zdolny i uszcziwy pracownik, posiadający swój własny zakład pieczętarski, w okolicy Placu Teatralnego, ś. p. K... Zmarły pozostawił po sobie jedyne dziecko, kilkoletnie niemowlę, i dość wziętą a uczciwą firmę, nie przeczuwając zapewne, że stanie się ona przedmiotem niepoczeiwej frymarki i że pod imieniem jego dorabiać się będzie jeden z tych, przeciw którym nieboszczyk walczył uczciwie całe życie, nie dając się pobić ich współzawodnictwa. A jednak tak się stało! Bo oto rada familijna, mająca czuwać nad dobrem i majątkiem nieletniego spadkobiercy, firmę jego ojca sprzedała — żydowi! A sprzedała ją za 50 rubli, podczas gdy od jednego z uczniów nieboszczyka, który, widząc ten handel imieniem swojego niegdyś pryncypała, stanął do konkurencji z żydem, zażądano dwa razy takiej sumy. Dziś tedy uczciwie zapracowana firma rzemieślnika polskiego służy nietylko za dorobek żydowi, ale i za sposób omamiania przez tegoż żyda publiczności, mogącej bardzo łatwo, zarówno o śmierci ś. p. K... jak i o takiej sprzedaży jego firmy, nie zgoła nie wiedzieć.

I dlaczego tak się u nas dzieje? — pytają, oburzeni tym faktem, koledzy nieboszczyka. Ano, bośmy już tak bardzo zasymlowaliśmy z żydami, że sami, własnymi rękami, pomagamy im do gnębienia nas...

Z prasy. „Tygodnik Ilustrowany“ pozyskał sobie nowego

„kronikarza“, w osobie pana *Quisa*, który, w pierwszym zaraz debiucie, popisał się wielce niesmacznym i wielce, co najmniej... niewłaściwym konceptem: „A przecież — mówi ów p. *Quis* — wolałmy głosem z każdej wsi do nieba płynącym: Panie Boże, wskaż nam jakie nowe źródło dochodu“ etc.; „ale Pan Bóg, chmurę zamiast waty, włożył sobie w jedno ucho (!) i w drugie ucho i odpowie: Poszli precz“ etc.

Byłoby pożądanem, aby panowie wydawcy „Tygodnika“ powstrzymywali na przyszłość p. *Quisa* w ferworze dowcipkowania, jakiegoby się zapewne żaden z „organów“ żydowsko-bezwyznaniowych nie powstydzili. Byłoby to, mówimy, pożądanem, jeżeli już nie ze względu na kierunek pisma, mającego być przecież „organem zachowawczym“ (!), to z uwagi bodajby na... interes tychże panów wydawców. Tak nam się zdaje.

Stuki plastyczne. W salonach warszawskiego Towarzystwa sztuk pięknych, otwartą została w tych dniach wystawa konkursowa dzieł sztuki ornamentacyjnej i dekoracyjnej. Udział w wystawie przyjęło około 30-stu wystawców, a w tej liczbie i kilka pań.

W znanym i wzorowo prowadzonym zakładzie naprawy dzieł sztuki p. A. Borańskiego, wystawionym był dla publiczności przez dni kilka, znany już z czasowej wystawy starożytności, ołtarzyk polowy Jana III. Małe to i jedyne w swoim rodzaju arcydzieło, stanowiące własność hr. P., zostało w pracowni pana B. kompletnie odnowione i odrestaurowane, a restauracja ta kosztowała pono rok pracy.

Z teatru i muzyki. Na scenie teatru Wielkiego wznowioną została opera Flotowa — „Stradella“.

Pełną prawdziwych zalet komedję Józefa Blizińskiego p. t.: „Przezona mama“ wznowiono na scenie Rozmaitości.

Odłożony już raz koncert, na rzecz zniszczonego przez pożar kościoła Ś-go Marcina, ma się odbyć nieodwołalnie w dniu jutrzejszym t. j. w Niedzielę.

Zmarli: Ś. p. Hipolit Wasniewski proboszcz z Lekowa gub. Płockiej, ukochany przez parafian swych i gorliwy kapłan — zm. w Warszawie.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

18 Października 1888 r.

Ceny zboża na rynkach amerykańskich, w ubiegłym tygodniu sprawozdawczym, pozostały bez zmiany. Na rynkach europejskich targi zbożowe były wszędzie mocne, co również odnosi się i do rynków bliżej nas obchodzących. W Gdańsku, pszenica, w gatunkach zwłaszcza wyborowych, cieszy się nader chętnym pokaupem, a żyto osiągnęło znowu nieco wyższe ceny.

Na targach warszawskich nie zaszła również prawie żadna zmiana.

Na placu Witkowskiego płacono pszenicę wyborową 6.90—7.10, średnią 6.40—6.60, ordynaryjną 6.00—6.15. Żyto wyborowe 4.40—4.50, średnie 4.20—4.30. Owies wyborowy 2.50—2.70, średni 2.15—2.30.

Na stacyi Praga płacono pszenicę wyborową 112—116, średnią 105—108, ordynaryjną 98—100 kop. za pud. Żyto wyborowe 74—76, średnie 70—73, ordynaryjne 68—69. Owies, wyborowy 73—75, średni 68—70, ordynaryjny 60—65 kop. za pud.

W handlu okowitą ceny pozostały na tym samym poziomie. „Rektyfikacja warszawska“ płaciła tak samo, w tygodniu bieżącym, za wiadro ekowity 100° z akcyzą, 10,40 rs.

Na targu prazkim, jakoteż i na rynkach żywnościowych nie zaszły również żadne zmiany godne zanotowania.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. M. Godlewski w Zambrowie. — „Rola“ oddaną jest na pocztę, w Warszawie, jak najregularniej w każdą Sobotę zrana. Nieakuratność więc w doręczaniu pisma Sz. Księdzu Dobrodziejowi, nie z naszej pochodzi winy.

P. Alph z pod Chmielnika. — Dziękujemy za pamięć, śląc wzamian pozdrowienie szczerze. I z adreśów i z nadestanych wiadomości skorzystamy chętnie. Żądane dziełko przesyłamy wkrótce.

P. H. Zajtz w Radomsku. — Początek „Francji żydziej“ może sz. pan otrzymać tylko w rocznikach „Roli“, a druk tego dzieła rozpoczął się w N-rze 21 — z 1886 r. Za spóźnioną odpowiedź przepraszamy najmocniej.

P. Euzebiuszowi Z. — Z nadsyłanych łaskawie wiadomości korzystaliśmy najchętniej, gdyby sz. pan zechciał — dla naszej jedynie wiadomości, podać swe nazwisko i adres.

Warszawia kowi. — Pismo, które — jak wiadomo właśnie tygodnik — w walce z przeciwnikami, ucieka się do środków tak niskich i niegodnych, może być istotnie „zdolnym do wszystkiego“. O takich też jedynie „przeciwnikach“ nie znajdzie sz. pan w piśmie naszym wzmian-

ki. Co do 2-go: wszelkie ich groźby anonimowe tak nam już spowszedniały że, bez czytania nawet, rzucamy je do kosza. Co do 3-go: odpowiemy później.

REKLAMY.

Dentysta-lekarz **L. SZYMAŃSKI** Przejazd Nr. 2 wstawia zęby systemem własnym, ulepszonym od rs. 2 z gwarancją od 3 do 5-ciu lat. Łeczy, plombuje, przy operacji znieczula ból. Przyjmuje od godz. 10-ej do 2-ej i od 3 do 7-ej. (4-1)

STUDENT

wydziału fizyko-matematycznego poszukuje lekcji lub korepetycji przedmiotów gimnazjalnych. Oferty proszę składać w Red. „Roli“ — dla „Studenta“.

OGŁOSZENIA.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-42
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137
(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

Główny Skład Dywanów 52-42

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

FABRYKA (10-4)

WYROBÓW PLATEROWANYCH

E. BRETTSCHEJDER

Egzystująca od roku 1872 przy ulicy Złotej Nr. 4,
w Warszawie.

Poleca swoje wyroby jak najsumienniejszymi wykonywane po najprzystępniejszych cenach, oraz przyjmuje wszelkie odnowienia w zakresie jej wchodzące.

Zatwierdzone przez rządy:
St.-Petersburg — Wiedeń — Budapeszt.



„EXSICCATOR“

Osusza wilgoć w domach, zabezpiecza drzewo od GNICIA i Grzybka. Dezynfekuje. Zastępuje OLEJNĄ FARBĘ.

52-33

Inżynier Ritter, Królewska 39.

U w a g a. Proszę nie porównywać wynalazku mego z reklamowanymi w ostatnich czasach smolami vel Guderitami

Do wdzierżawienia na lat 3, każdego czasu

MŁYN i TARTAK (6-3)

W Pętkowicach pow. Hłecki gub. Radomska

Pierwszeństwo dla Chrześcianina

Wiadomość o warunkach w Lipienicach, p. Jastrzab st. dr. żel. Iw. Dąbrowskiej.

FABRYKA i MAGAZYN

**WSZEKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
KONNEJ JAZDY I POLOWANIA**

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze
Płaszcz gumowe — Buty filcowe

Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane

Torby myśliwskie — Futerały na broń

Portmonetki — Pugilaresy — Portfelgary — Woreczki i t. p.

Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

Krawiec (52-36)

M. CHMURCZYŃSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy.
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnowki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tuzurki, zakłady, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nicuje, reperuje zmienia aksamiłne kołnierze, guziki i odprasowuje, jak najakuratniej po cenach bardzo niskich.

Egzystująca od r. 1869. (12-10)

FABRYKA ROBÓT KOŚCIELNYCH I SALONOWYCH

ST. WYSOCKIEGO

w WARSZAWIE, Nowy-Świat Nr. 21.

Poleca znaczny wybór, od najskromniejszych do najwytworniejszych, stylowych ram, zawsze gotowych, w rozmaitych miarach; przytem ma na składzie obrazy olejne treści religijnej i rodzajowej. Fabryka stale wykonywa roboty kościelne i takowe w najtrwalszy sposób odnawia, szcując się tyloletniem zaufaniem.

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka (52-42)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

RYMARZ

wykwalifikowany

poszukuje pracy. Podejmuje się wykonywania robót rymarskich po dworach wiejskich w Królestwie i Cesarstwie. Wiadomość w Red. „Roli“, Nowy Świat Nr. 4. (6-3)

JÓZEF SKWIERCZYŃSKI

K R A W I E C M E Z K I

Warszawa, ul. Mazowiecka Nr. 8.

UWAŻAJCIE!

136 MARSZAŁKOWSKA 136, BÓG Ś-to KRZYŻKIEJ.

NATURALNE, CZYSTE, KURACYJNE WINO KACHETYŃSKIE

dostać można w Składzie pod firmą:

„KAUKAZ”

gdzie sprzedaje się po cenach od 30 kop. do 2 rubli za butelkę i na lampki po 5 i 10 kop.

Wino polecamy do użytku kościelnego. (3-1)

UWAŻAJCIE!

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885. **DYPLOM UZNANIA.** ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tlomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoiów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najświeższych żurnali (13-3)

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH 4-2

J. KRAJEWSKIEGO

przy ulicy Świętokrzyskiej Nr. 17



Cennik.

Palta zimowe	od rs. 20
„ „ jesienne	„ „ 16
Garnitury zimowe: żakietowe	„ „ 22
„ „ „ tużurkowe	„ „ 25
„ „ „ surdutowe	„ „ 25
„ „ „ marynarkowe	„ „ 15
Spodnie	„ „ 4
Kamizelki	„ „ 2
Burki sławuckie w wielkim wyborze	„ „ 18
Szlafroki	„ „ 12

Przytem posiada na składzie wielki wybór materiałów krajowych i zagranicznych, od najtańszych do najwykwintniejszych. Obstalunki wykonywa w przeciągu 24 godzin.

MAGAZYN MÓD 6-2

I PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH

P. PASZKOWSKA

W WARSZAWIE

przy ulicy Długiej Nr. 585 w Hotelu Polskim

poleca:

wielki wybór **Kapeluszy Damskich**

najświeższych fasonów.

J. N. BRONIKOWSKI

PAPIER (19-9)

Materiały piśmienne i rysunkowe

w wielkim wyborze — po cenach niskich.

J. N. BRONIKOWSKI

Plac Teatralny 18 obok Ratusza

Zatrzaski do drzwi różnej konstrukcyi,
Kłódki, Łańcuchy do drzwi (5-2)

poleca:

EDWARD DUSOGE

Nowy-Świat Nr. 5 (wprost Straży Ogniowej).

Ważne dla P. P. Myśliwych!

Gilzy metalowe Lancastra mego wynalazku, przewyższające wszystkie dotychczasowe, wytrzymujące z górą 60 strzałów; wchodzą i wychodzą po strzale z lufy swobodnie, sprzedają bez różnicy kalibru, z przesyłką pocztą w obrace Królestwa 8 rs. setkę, 25 sztuk 2 rs. pistony Berdausa do tychże 60 kop. 250 sztuk.

Broń, rewolwery, Gilzy papierowe w ogóle Amunicyę, wyrabiają sam sprzedają po cenie fabrycznej, sumienną reperacyę, przeróbki po cenie najniższej.

Pojedynki odcylcowe dla młodzieży do strzelania srebrem 18 rs. z przyborem.

Handlującym rabat.

Cenniki na żądanie franco. (52-19)

Parowa Fabryka Broni Rewolwerów i Amunicy

JULIANA STAPF, w Warszawie,

10! Ul. Kotzebue 10!

SKŁAD ORMIAŃSKI

Nowy-Świat 69.

Naturalne Czyste i Kuracyjne Wino

DOSTAĆ MOŻNA u

SARKISIANCA

gdzie sprzedaje się po cenach od 25 kop. za butelkę do rs 1 k. 50.

Kupującym za rs. 5 odstępuje się 10% rabatu.

A. SARKISIANC. (25-12)

UWAŻAJCIE!

MAGAZYN FELIKSA ZAREBY

ulica Miodowa Nr. 8.

Egzystujący od roku 1861.

Posiada znaczny zapas obuwia Damskiego, Męskiego i Dziecinniego. Przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacya.

Ceny przystępne, z gwarancyą.

Buciki skórkowe damskie od rs. 4. — Kamasze męskie od rs. 4 kop. 75.

MAGAZYN MEBLI

K. Dziegielewskiego

Ś-to-Krzyżka Nr. 5.

Poleca wielki wybór mebli stylowych i fantazyjnych, oraz najświeższe dekoracye. (26-20)

Do składu Szkła, Porcelany i Lamp naftowych

(6—2)

LUDWIK A FRINDT

ulica Przejazd Nr. 1 vis-à-vis Długiej

nadszedł wielki wybór Lamp Błyskawicznych, jak również nadeszły szklanki gładko szlifowane po 75 kop. tuzin.

MAGAZYN UBIORÓW MĘZKICH

J. WĄGROWSKIEGO

w Warszawie

Długa Nr. 27 (25) vis-à-vis Hotelu Drezdeńskiego.

Zaopatrzony w wielki wybór materiałów krajowych i zagranicznych z najpierwszych fabryk,—a także posiada znaczny zapas gotowej garderoby po cenach umiarkowanych, a mianowicie:

Palta zimowe	od rs. 22	Spodnie	od rs. 5
Garnitury marynarkowe	„ 22	Kamizelki	„ 2.50
Surduły wizytowe	„ 20	Burki Sławuckie	„ 22
Garnitury tużurkowe	„ 28	Szlafroki	„ 12

oraz wielki wybór kamizelek sztuczkowych od 3 do 12.

Wszelkie obstalunki wykonywają się na żądanie w ciągu 24 godzin.

6-3

Skład Nici
i Towarów Galanteryjno-Norymberskich

HELENY BONICZKOWSKIEJ

Krakowskie-Przedmieście 41
naprzeciwko ulicy Bednarskiej

ma zaszczyt polecić:

Gorsety, Guziki, Hafty, Koronki krajowe, Krawaty, Kryzy (Crepe plisse), Woalki, Wstążki, Wyroby pończosznicze i Włóczkowe po cenach przystępnych. (12—7)

Świeża herbata czarna

w wyborowych gatunkach, nadeszła do handlu

W. Lewandowskiego

przy ulicy Chmielnej Nr. 24.

Jest także w sprzedaży papier pergaminowy, do obwijania, zastępujący papier ołowiany. (3—3)

A. KIERST I S^{ka}

5. Bielańska 5.

(vis-a-vis Danilowiczowakiej)

SPECYALNA FABRYKA I MAGAZYN

BIELIZNY MĘZKIEJ

CENY NIZKIE!!!

Najlepszy krój Koszul Męzkich.

26—11

FABRYKA I SKŁAD

Narzędzi Chirurgicznych i ostrych
stalowych, oraz Bandaży,

F. Balukiewicza

W WARSZAWIE

Bielańska Nr. 9, hotel Paryzki.

Przyjmują się wszelkie reperacje w 'zakres
fabryki wchodzące. (26—3)

Bandaż

ZA 75 KOP.

(3—1)

Obsadkę niklową z ołówkiem, piórem, stemplem kauczukowym, (Imię i Nazwisko) pieczętką do laku, z monogramem lub gotyckimi literami, z dodatkiem flaszeczki tuszu wysła za zaliczeniem pocztowem.

F. J. Pfeiffer, Pieczętarz

Warszawa Senatorska N. 29.

Magazyn Ubiorów Męzkich
Karola Miniewskiego

Senatorska 29

I. sze piętro
obok kościoła Ś.ego Antoniego—vis-à-vis A. Feista.O T R Z Y M A Ł
n a o b e c n y s e z o n
Wielki Wybór
MATERIAŁÓW

(20-5)

z których wykonywa obstalunki po cenach bardzo przystępnych. — Na prowincję wysyła próby i sposób brania miary samemu sobie.

Łóżka żelazne, zwyczajne i ozdobne,
Umywalki

(5—2)

poleca:

EDWARD DUSOGE

Nowy-Świat Nr. 5 (wprost Straży Ogniowej).

Treść numeru: „Na wszelki przypadek...“.—Głosy ze wsi l.—Francya zżydziała (d. c.)—Opowiadanie przez autorkę „Opowiadań“ (d. c.) Niedziela w Edynburgu. Ze wspomnień podróży. St. Piasta.—Na posterunku, feljeton Kamiennego.—Z całego świata.—Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna.—Odpowiedzi redakcy.—Sprawozdanie handlowe.—Ogłoszenia. — W odcinku: „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Choińskiego (d. c.)